

Tadeusz Nyczek: Aby język giętki

Tadeusz Boy-Żeleński był zakochanym w podwawelskim grodzie outsiderem; ten prawie oksymoron będzie charakteryzował całe jego życie, także to pozakrakowskie. Bawidamek, karciarz, kobieciarz, bywalec salonów, kularów i buduarów, w zadziwiający sposób umiał spoglądać na swój świat (światek, półświatek) z dystansu pozwalającego na zimny, pozbawiony złudzeń krytycyzm – pisze Tadeusz Nyczek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Boy. Kultura na bieżąco”.

Wymyślanie historii alternatywnych jest zajęciem miłym i pobudzającym wyobraźnię, ale, jak powiedzieliby racjoniści, zapewne dość jałowym. Kusi przecież pytanie: a co by było, gdyby państwo Żeleńscy nie przeprowadzili się w 1881 roku z Warszawy do Krakowa, skutkiem czego siedmioletni podówczas Tadzio, boy jeszcze przez małe b, zostałby na zawsze warszawiakiem? Siedmiolatek, co nie dziwi, będzie długo pamiętał miejsce urodzenia – po latach zresztą wróci do Warszawy – ale podstawówka, gimnazjum, potem uniwersyteckie studia medyczne skutecznie przerobią chłopca na krakusa. Takiego jednak krakusa, który zawsze będzie miał do Krakowa swoisty dystans. Zakochany (ze wzajemnością) w historycznej stolicy – ostrym piórem opíše jej głupstwo, mizerotę, nadęte sobiepaństwo, starczą miłość do półzgniłej tradycji.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Z ducha europejczyk, paryski stypendysta oblatany w kulturze francuskiej, dorosły doktor Tadeusz Żeleński widział doskonale, co się dzieje, gdy jakąś społecznością zaczyna władać grupa ludzi narzucająca wszystkim swój punkt widzenia. To, co doszło do głosu w latach dwudziestych w Rosji i trzydziestych w Niemczech, jeszcze nie miało swojej nazwy – powiedzmy totalitaryzmu – więc nie używał jej także i on, ale mechanizm ów precyzyjnie opisał na przykładzie Krakowa swojej młodości. Wszystko w małej skali, ale Kraków tamtych lat był w ogóle niezbyt dużym miastem, liczącym niewiele ponad 50 tysięcy mieszkańców.

Było coś chorowitego w ówczesnym Krakowie, z jego nienaturalnie rozdętą głową na maleńkim korpusie. Można by ówczesny jego symbol widzieć w anachronicznie ‘hetmańskiej’ głowie na małym ciałku hrabiego Stanisława Tarnowskiego, wielokrotnego rektora uniwersytetu i prezesa Akademii. (...) Zabawna figura, powie ktoś. Ale wówczas to nie było zabawne. Bo koteria, której szczytowym punktem był ‘Szlak’ (pałac Tarnowskiego), skupiała całkowitą i bezwzględną władzę. Miała nieoficjalny wpływ na ‘rząd’, którego każdorazowy ‘delegat’ był na jej usługi; obsadzała urzędy starostów; miała mandaty poselskie dzięki systemowi kurialnemu; miała w ręku Wydział Krajowy i Radę Szkolną; kler i banki; ‘Floriankę’ i ‘Zachętę’; miała wpływ na wszystkie instytucje, obsadzała swoimi ludźmi uniwersytet, trzymała za łeb Akademię i wszystko, co się z nią

więzało w postaci nagród, stypendiów, podróży. Dla grzecznych dzieci były wszystkie ciasteczka, krnąbrnym groził absolutny post.

To z autorskiego wstępu z 1930 roku do kolejnego już wydania *Boyowych Słówek*, książki popularnej przed wojną i po wojnie niczym powieści dla kucharek. Hrabia Tarnowski ze swoją koterią wgrzyzioną w żywą tkankę miasta uosabiał wszystko, co musiało być dla młodego lekarza i już znanego kabaretowego satyryka szczególnie odstręczające.

Był, jednym słowem, zakochanym w podwawelskim grodzie outsiderem; ten prawie oksymoron będzie charakteryzował całe jego życie, także to pozakrakowskie. Bawidamek, karciarz, kobieciarz, bywalec salonów, kularów i buduarów, w zadziwiający sposób umiał spoglądać na swój świat (światek, półświatek) z dystansu pozwalającego na zimny, pozbawiony złudzeń krytycyzm.

Ten krytycyzm będzie mu towarzyszył zawsze i wszędzie, przede wszystkim w pisarstwie każdego rodzaju, od piosenek kabaretowych po walkę o świadome macierzyństwo. Za młodu z psim oddaniem zapatrzony w Przybyszewskiego (a zwłaszcza w jego norweską żonę) przewietrzającego na potęgę zapyziały Kraków, po jego śmierci opisał go jako upadłego geniusza zaśmiecającego polską literaturę czystą grafomanią; jeśli za coś zwalczał młodopolszczyznę, także w wydaniu własnych przyjaciół, to między innymi za pretensjonalny język i górnołotne uniesienia, czego nie cierpiał.

Wielcy pisarze, podobnie zresztą jak malarze czy muzycy, mają swoje własne, specyficzne języki autorskie, rozpoznawalne od pierwszego wejrzenia. Tymczasem Boy, paradoksalnie, nie miał „swojego” języka.

Skoro jesteśmy przy języku. Wierszyki z *Zielonego Balonika*, przekłady z francuskiego, felietony obyczajowe i teatralne, publicystyka społeczna i szkice odbrązawiające polskich wieszczów romantycznych, czyli

to wszystko, z czego Boy zasłynął, to tylko pochodna wspaniałego daru, jakim natura obdarzyła tego niezwykłego pisarza: daru języka. Wydawałoby się – cóż język. Każdy ma swój język, lepiej czy gorzej się nim posługując. Wielcy pisarze, podobnie zresztą jak malarze czy muzycy, mają swoje własne, specyficzne języki autorskie, rozpoznawalne od pierwszego wejrzenia. Tymczasem Boy, znów paradoksalnie, nie miał „swojego” języka. Nie był oryginalnym językowo pisarzem, jak Żeromski, Witkacy, Gombrowicz (o poetach nie mówiąc). To znaczy nie uprawiał poezji (choć pisał wiersze) i nie pisał opowiadań czy powieści (choć uprawiał prozę). Szczęśliwie nie miał takich ambicji. Owszem, obracając się od lat studenckich w środowisku artystycznym, próbował, jak ówczesni młodzi poeci, od Tetmajera czy Staffa, pisać wiersze-wiersze. Były na tyle niedobre, a on był na tyle świadom tej ich kiepskości, że szybko próby bycia „prawdziwym poetą” porzucił. Resztki takiego poezjowania błąkają się jeszcze pośród

Słówek:

Dwie są rzeczy mniej smutne niż inne
na tym świecie przepojonym łzami:
albo rymy dobierać niewinne,
lub usteczek dobierać nutami;

albo wgrzyzać się z radosnym znojem
w myśli tkankę i sok z niej wysysać,
albo serce drgające na swoim
słów kłamliwych pieszczotą kołysać.

Fakt, że Boy, umieszczając takie strofy w *Słówkach*, gdzie niemal wyłącznie panuje już styl komediowo-satyryczny, akceptował młodopolskie frazy, dziś dla nas jawnie grafomańskie, świadczy najwyżej o sile literackiego ducha epoki tudzież wpływach, jak widać nie do uniknięcia, języka przyjaciół poetów.

Prawdziwą pisarską szkołą Boya okazał się szczęśliwie kabaret i literatura francuska. Dla kabaretu trzeba pisać jasno, precyzyjnie, dowcipnie i z podtekstem, żadne kręcenie i chachmęcenie nie ma szans. Przekład zaś literacki trzyma język w cuglach, bo zmusza do szukania najwłaściwszych, a nie najefektowniejszych słów. Poza wszystkim literacka szkoła francuszczyzny uczyła klarowności i precyzji w stopniu rzadko osiąganym przez szkołę polszczyzny, dla której najwyższym wzorem była liryczna rozlewność romantyczna. Boy obie te szkoły przechodził równolegle; kiedy pisał kabaretowe wierszyki dla „Zielonego Balonika”, kończył już tłumaczenie zbioru komedii Moliera, a miał na aktualnym warsztacie pięć tomów *Gargantui i Pantagruela* Rabelais’go, *Rozprawę o metodzie* Descartes’a, *Wyznania* Rousseau, *Próby* Montaigne’a. Nie musiał szukać w sobie „prawdziwego” poety ani

„prawdziwego” prozaika czy dramaturga. Nie miał najmniejszego zamiaru ścigać się z Wyspiańskim, Rydlem czy Kasproviczem. Ćwiczenia kabaretowe wspaniale przydawały się przy tłumaczeniu *Wielkiego testamentu* Villona, a przejrzysty język filozoficznych rozpraw Kartezjusza i Montaigne’a fantastycznie przydawał się w późniejszej Boyowskiej eseistyce i publicystyce.

Do dziś pisarstwo Boya, na czele z publicystyką społeczną, jest dzięki temu znakomicie czytelne, czego nie da się powiedzieć o większości współczesnych mu autorów, z tłumaczami włącznie.

Miłosz, wierny uczeń Mickiewicza, mistrza jasności języka, był szczególnie uczulony na wynaturzenia i wydziwaczenia polszczyzny, nie dziwi więc, że język polskich modernistów miał za „rodzaj zapaści”, co jasno wyraził choćby

w swojej *Spiżarni literackiej*, skąd cytat. Dwa czynił wyjątki: dla Wyspiańskiego, ale tylko za *Wesele*, i dla Boya właśnie – w całości. W tym samym wspomnieniowym tekście ze *Spiżarni...* (rozdziałik pt. *Stefania*) notował: „Boy-Żeleński pisał swoje humorystyczne wiersze i piosenki, objęte wspólnym tytułem *Słówka*, dla żartu, ale zarazem miał świadomość, że walczy ze zbyt wysokim stylem młodopolskim, że jego celem jest sprowadzenie polszczyzny na ziemię”. Do dziś pisarstwo Boya, na czele z publicystyką społeczną, jest dzięki temu znakomicie czytelne, czego nie da się powiedzieć o większości współczesnych mu autorów, z tłumaczami włącznie. Przekładów Ajschylosa i Eurypidesa w wykonaniu Jana Kasprovicza nie da się dzisiaj czytać, podobnie jak większości dialogów Platona w przekładach Władysława Witwickiego,

tymczasem Francuzi Boya są nadal niezastąpieni. Niezależnie nawet od tego, że współcześni reżyserzy i aktorzy przyznają niekiedy, iż anachronizm niektórych fraz Moliера bywa już zbyt dokuczliwy. Język dialogów teatralnych starzeje się jednak najszybciej, czego dowodem choćby wielość tłumaczeń Szekspira, autora zdawałoby się niepodległego czasowi.

Zaryzykujmy na koniec pewne spostrzeżenie: być może pewną nieuświadomioną do końca rolę odegrało tu, w części przynajmniej, medyczne wykształcenie autora *Dziewic konsystorskich*. Medycyna zarówno stosowana, jak teoretyczna – a obie Boy uprawiał, dopóki ich ostatecznie w praktyce nie porzucił – wymagają konkretnych diagnoz, precyzyjnej ręki, szukania najkrótszej drogi do celu. Największym wrogiem lekarza jest fantazja i metafora.

Doświadczenie różnych epok zdążyło nas nauczyć, że splątany i rozchwiany język prowadzi do zapaści nie tylko komunikacji międzyludzkiej, ale i kultury jako takiej, czego jesteśmy świadkami chociażby w naszych czasach opanowanych przez pokrętny język polityki. Tym bardziej doceniemy Boya, mistrza trafności i czystości stylu.

Tadeusz Nyczek



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

